

O. J.

---

## Adwokatura i nerwy

---

Palestra 2/10-11(11), 60-63

---

1958

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez **Muzeum Historii Polski** w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Adwokatura i nerwy

Adwokatura stanowi bardzo poważną część środowiska prawniczego w Polsce. Dobrze byłoby zatem, gdyby na łamach pism prawnospołecznych pojawiały się artykuły poświęcone problematyce adwokatury. Jest źle, jeśli artykuły takie pojawiają się rzadko. Jest bardzo źle, jeśli tym rzadkim artykułem jest enuncjacja p. Elżbiety Witkowskiej pt. „Adwokatura czeka na Godota” („Prawo i Życie” nr 14/58). Co można powiedzieć o tym artykule?

Znakomitą jego część stanowią wybrane pracowicie cytaty z różnych artykułów „Palestry” traktujące o różnych niedostatkach i niedomogach adwokatury. Cytaty oczywiście podano w formie „czystej”, tzn. starannie wypreparowane z kontekstów. Miało to więc być coś w rodzaju krótkiej antologii błędów i wypaczeń naszej palestry. Cóż dziwnego, że obraz tej instytucji, jaki uzyskuje tzw. szary czytelnik, jest czarny jak diabelski inkaust. Gdybyż jednak na tym tylko Autorka poprzestała! Można by jej było zarzucić wtedy jednostronność, nie odmawiając pilności, i nie byłoby żadnych szczególnych powodów do polemiki. Gdybyż!

Według znanej definicji myśl — to przerwa między cytatami. W artykule „Adwokatura czeka na Godota” przerw jest niewiele, ale zawierają one kilka myśli o tyle oryginalnych, że trudno pozostawić je bez odpowiedzi.

Polemika taka nie jest zresztą łatwa. Bo tam, gdzie w artykule kończy się owa wszechobecna cytatitis, a zaczyna tekst własny, wprawne pióro Autorki zdradza właściwości pędzla Claude Moneta: kontury zdań są zatarte, sądy niejasne, myśl mglista...

Do kogo np. Autorka kieruje swe pretensje o oplakany stan adwokatury, gdzież źródło złego? Czytając „Adwokaturę czekającą na Godota” w pewnym momencie możemy sądzić, że wszystkiemu winni są bliżej nieokreśleni „wujowie adwokaccy”, o których dowiadujemy się, że „nasi

adwokacy wujowie ciągle jeszcze raczej napęłniają szklanki «fructovitem», niż zespoły nową treścią.” Można się więc domyślać, że ci „wujowie” to coś w rodzaju złośliwych chochlików sabotujących budownictwo socjalistyczne w adwokaturze.

Kilkadziesiąt wierszy dalej współwinowajcą okazuje się jak gdyby Redakcja „Palestry”, której za karę najwidoczniej Autorka grozi bojkotem.

Ale zdaje się, że tak naprawdę, to w artykule chodzi o „podsumowanie” działalności nowych władz samorządu adwokackiego. Wyraźnie się o tym nie pisze, bo to jest „podsumowanie” wykonane według reguł, które dziś można już określić jako klasyczne.

Oto we wstępie wśród skomplikowanych figur stylistycznych znajdujemy dwa zdania istotne: „Nowe, pochodzące z wyborów władze adwokackie działają od 1956 r., a więc już dwa lata. Jest to okres dostatecznie długi, by coś w adwokaturze zmienić; nie idzie tu oczywiście o zmiany ujęte w sprawozdaniach, ale o zmiany faktyczne, odczuwalne dla adwokata w jego codziennym życiu.” I dalej, przeglądając swój terminarz adwokacki, Autorka stwierdza, że nic się nie zmieniło, bo jest w nim dziś tak samo pusto, jak przed dwoma laty. Potem zestawia się wspomniany już wykaz grzechów palestranckich, wszystkich przecież z pustego terminarza rodem. A w końcu Autorka wysuwa parę postulatów, które gdyby się je zrealizowało, uczyniłyby zawód adwokacki mlekiem i miodem płynącym, ale tego samorząd adwokatury z nie znanych bliżej przyczyn nie realizuje.

Nie zorientowany w sprawach adwokatury czytelnik (a przecież większość czytelników „Prawa i Życia” to chyba nieadwokaci) odnieść musi z tak skonstruowanego artykułu zupełnie jednoznaczne sugestie o roli „nowych, pochodzących z wyborów władz adwokackich”. W istocie, jest to ta właśnie rola, jaka w znanej bajce Krasickiego przypadła kogutowi, który paniem „deszcz sprowadził”.

Efekt ten osiąga Autorka artykułu za pomocą przynajmniej trzech chwytów erystycznych, których do rzędu godziwych metod krytyki zaliczyć nie można.

Można oczywiście za jedyne kryterium zmian w adwokaturze uznać własny terminarz i na tej podstawie twierdzić, że nic się nie zmieniło. Będzie to sąd z pewnością nader subiektywny, ale poza tym nic więcej nie można by mu zarzucić. Jeśli jednak — tak jak to czyni Autorka — o pustki w terminarzu oskarża się rady adwokackie, to jest to już po prostu zwykła demagogia. Gdyby dzisiaj we władzach samorządu adwokatury zasiedli nie zwykli śmiertelnicy, ale święci pańscy, to też jeszcze

w związku z tym obroty p. Witkowskiej ani niczyje inne nie wzrosłyby nawet o 10 złotych.

Autorka wysuwa bardzo prosty projekt zlikwidowania materialnych bolączek adwokatury. Żąda odebrania spraw „rekinom” i obdzielenia nimi adwokatów gorzej zarabiających. Jedno jest w tym projekcie słuszne: z „rekinizmem” i pochodnymi zjawiskami trzeba walczyć na pewno z dużą energią i bezwzględnością. Trzeba walczyć, bo to jest sprawa poziomu zawodowego i oblicza moralnego adwokatury. Ale problemu pauperyzacji palestry przez „parcelację” rekinów się nie załatwi. O wiele ich za mało, a zarabiających poniżej minimum życiowego adwokatów zbyt wielu. Na rozwiązanie problemu „pustego terminarza” nie ma dziś żadnego cudownego panaceum ze skutkiem „od zaraz”. Nie przez pseudoradykalne frazesy, ale jedynie w drodze konsekwentnej realizacji długofalowego planu dopływu do adwokatury kadrowej. O tym wszystkim można się dowiedzieć m.i. i z artykułów „Palestry”, które Autorka tak obficie cytuje; można, pod warunkiem jednak, że się w nich szuka wyjaśnienia zagadnień, a nie wyłącznie potrzebnych cytatów.

Są wreszcie w omawianym artykule i takie postulaty, które choć nie stanowią pomysłów oryginalnych, nie są jednak pozbawione słuszności, jak np. projekt zakreślenia osobom wpisanym na listy adwokatów bez wyższego wykształcenia prawniczego terminu obowiązkowego uzupełnienia studiów pod sankcją skreślenia z listy. Wydaje się, że jest to bardzo słuszny wniosek, ale nie wiadomo, dlaczego Autorka ma pretensje do rad adwokackich, że go dotychczas nie zrealizowały. Te pretensje są bardzo źle skierowane. Przecież żadna choćby najbardziej uroczyście podjęta uchwała jakiegokolwiek organu samorządu adwokackiego nie może nikogo pozbawić praw nabytych z ustawy, i tak właśnie ma się sprawa z art. 46 ustawy o ustroju adwokatury w dawnym jej brzmieniu. Nie trzeba i niewarto szerzej tego uzasadniać, bo to są rzeczy z elementarza prawniczego. Skąd więc ta pomyłka w adresie?

Wreszcie sprawa ostatnia, bodaj najbardziej przykra. Artykuł wyraźnie pretenduje do całościowej oceny sytuacji panującej w adwokaturze. W istocie jednak rozważania Autorki obracają się stale wokół jednego tylko zagadnienia: wysokości zarobków. I czytelnik artykułu kończy jego lekturę z przekonaniem, że wszystko, o co naprawdę w tej adwokaturze chodzi, to jedynie sprawa „forsy”. Bardzo złą usługę adwokatom i adwokaturze oddał ten artykuł. Wiem oczywiście, że Autorka wcale tak nie myślała, że jej się tylko tak napisało w zdenerwowaniu, że się przejęła

tematem. Jest to rzecz ludzka. Adwokatura jest jednak zawodem wymagającym panowania nad nerwami. I to nie tylko na sali sądowej. Czasem i przy pisaniu artykułu dobrze jest pamiętać np. o przykrych skutkach gestu Calpurni, która też zapewne działała w zdenerwowaniu.

W zdenerwowaniu Autorka ogłasza coś w rodzaju ultimatum. Jeśli jej wnioski nie będą przyjęte, przyłączy się do „rekinów”, a ponadto — nie wiadomo już dlaczego — przestanie czytać „Palestrę”. W takim samym związku ze sprawą i z tym samym powodzeniem można przestać czyścić zęby lub chodzić do fryzjera. Ale najlepiej przestać pisać artykuły takie jak „Adwokatura czeka na Godota”.

O. J.